

SAMOTNY REJS

PO BAŁTYKU

Wszystko zaczęło się od inspiracji historii – otóż w 1926 r. Ludwik Szwykowski wraz z synami pływał po Bałtyku, na otwartej łodzi żaglowej. Pomyślałem, że może by tak powtórzyć ten wyczyn? Los sprzyja takim szalonym przedsięwzięciom, stwarzając sytuacje ułatwiające podjęcie najbardziej zwariowanych decyzji.

Dlatego właśnie „przywił” do mnie Andrzeja Jankowskiego. Jak tylko się zjawił, stwierdził:
– Wiesz, mam małą norweską balastową łódkę, co prawda odkrytą, ale bardzo dzielną....., niestety wyjeżdżam na kilka lat, na placówkę do Aten, nie mogę jej zabrać i...

– i (to już mówiłem ja) bardzo chętnie ją od ciebie wyczarteruję...

Jankowski zgodził się bez najmniejszych oporów (to było naprawdę podejrzane), a ja już miałem gotowy plan. Płynę dookoła Bornholmu, kółko, nieregularne co prawda, przechodzi przez Karlskronę i Ekenos. Tu chciałem odwiedzić warsztat szkutniczy, który kiedyś był stocznia, gdzie przed drugą wojną światową zbudowano żaglowiec szkolny „Generał Zaruski”.

Rejs „Astrid”, bo tak się nazywa łódeczka – w końcu pochodzi z Norwegii – zaczął się w krzakach nad Szkarpową w Mikoszewie, na podwórku państwa Wójcików. Dziwnym zbiegiem okoliczności, żona gospodarza też nosi imię Astrid – wzięłem to za dobrą wróżbę. We wspomnianych krzakach łódeczka mieszkała od dwóch lat. Dźwig dostownie wyrwał ją z zarośli. Przy tej operacji na „polu walki” padła grusza, a podwórko zmieniło się w czołgowisko. Reakcją gospodarzy pominię milczeniem. Pan Wójcik, patrząc mi głęboko w oczy, kazał zapewnić, że nigdy, ale to nigdy „Astrid” tu nie wróci. Ze szczerym spojrzeniem Słowianina, który kłamie (Hłasko), zapewniłem go o tym, marząc tylko o jednym – jechać i dojechać. Łoże (czyli specjalna





metalowa konstrukcja), na którym spoczywała „Astrid”, było w stanie, delikatnie mówiąc, opłakanym. Co zrobi Andrzej Jankowski ze swoją łódką, kiedy wróci? Do jego działki dojeżdża się przez posiadłość Wójcików...

Usprawiedliwia mnie to, że działałem w stanie wyższej konieczności.

Potem Gdańsk, klub LOK. Tutaj poszukiwania nowego łoża dla „Astrid”. Znajdujemy i ruszamy do boju. Zaczynamy od żagli – głównie od ich wzmocnienia. Potem przeróbka olinowania i najważniejsze – montaż komór wypornościowych. Mają one zapewnić niezatapialność łódce wraz z ładunkiem, czyli mną i całym wyposażeniem. A jest tego trochę... Za konieczne uznałem także zamontowanie reflektora radarowego, który daje mocne echo widoczne na radarze. Po co? Choćby z tego powodu, że rozjechanie takiej tępinki jak „Astrid” to rzecz nieodczuwalna dla dużej jednostki, więc dobrze być „styszalnym” i „widzialnym”. Takie przygotowania to w sumie dziesiątki drobnych spraw... naprawdę dziesiątki.

W firmie „Sportis” uszyli mi specjalny sztormiak, pozwalający robić sobie zastrzyki z insuliny bez rozbierania się – spróbujcie się rozebrać na otwartej pięciometrowej łódce! Na normalnym jachcie można zejść pod pokład – tu nie ma gdzie zejść. Zresztą sądzę, że taki sztormiak to dobry pomysł dla ludzi z cukrzycą, którzy żeglują. Dodatkowo ma mnóstwo szczelnych kieszeni, gdzie można

pochować jedzonka docukrzające, pen, glukometr. Zobaczymy, jak się sprawdzi w praniu – a to „pranie” będzie z ciągłym płukaniem (no bo na otwartej łodzi). Dodatkowo miejsce na ręczną UKF i GPS, i jeszcze nóż, rakiety sygnalizacyjne, gwizdek. Jest tego prawie tyle, co w ekwipunku marines. Do tego sztormiak musi być wygodny i nie może krępować ruchów ani utrudniać poruszania się w specjalnych szelkach bezpieczeństwa.

Na łódce nie ma tratwy ratunkowej, z prozaicznej przyczyny – brak miejsca. Alternatywa jest prosta: albo płynie tratwa, albo ja. A zatem niezatapialna łódka, nawet zalana, uszkodzona, jest moją tratwą ratunkową. Kolejny problem – gdzie pomieścić wyposażenie? Wodoodporny śpiwór, specjalny ocieplany kombinezon ratunkowy – w wodzie o temperaturze 4 °C pozwala przeżyć 20 godzin. Bałtyk, morze niewielkie, do tego czasu powinni mnie znaleźć (w razie kłopotów). Na szczęście mało jedzenia, bo odcinki morskie dość krótkie. Jakiś niewielki zapas zwykłych ciuchów i już się robi 30 kilogramów, akumulator, silnik, paliwo, dwie kotwice, mapy, agregat – gdzie to pomieścić, skoro prawie całość wolnego miejsca zajmują komory wypornościowe? A dryfkotwa to pies? A 50 metrów liny do niej? Pytania się mnożą, łódka coraz cięższa, pogoda jak w psiarni, temperatury około 8 °C, pada, ogólnie ohydnie. Ale co tam. Płynę.

Trzymajcie kciuki.

Krzysztof Mika